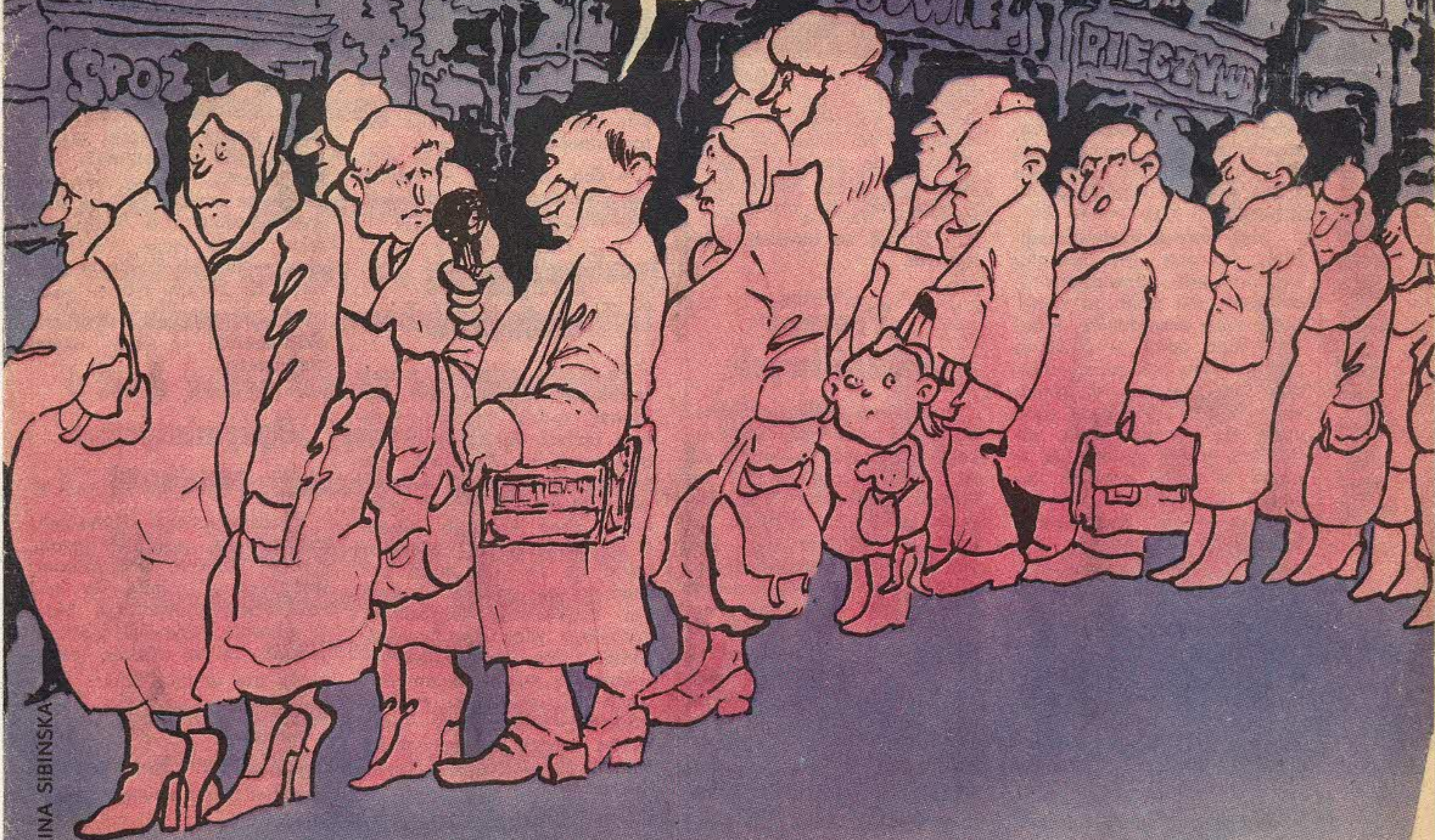
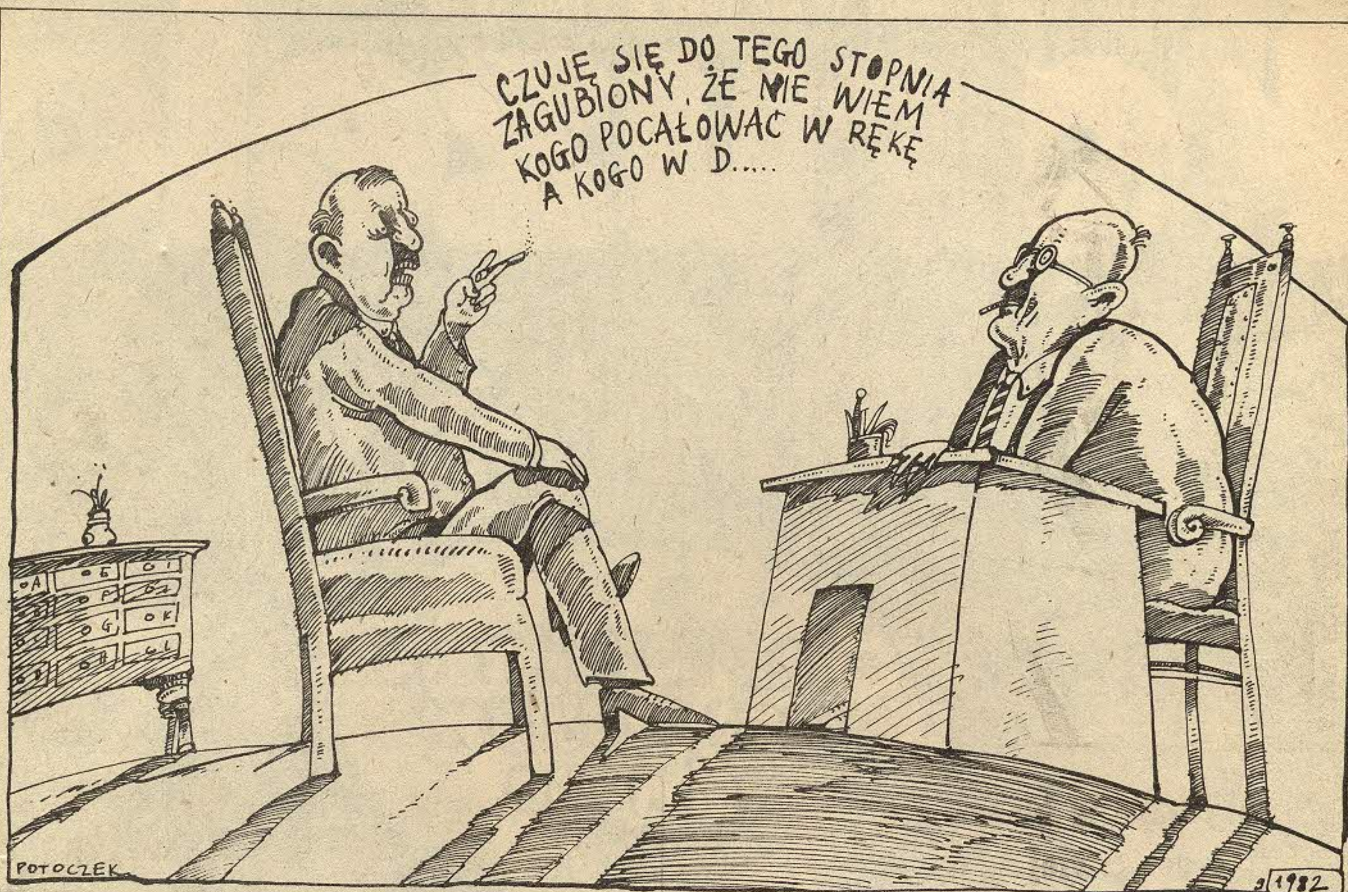
ROK XXVI NR 17/616 1982 R. CENA 15 ZŁ

karuzela



kraj na ziemi



WACŁAW POTOCZEK

Jedyne wyjście

Nie na próżno Sokrates nawoływał do poznania samego siebie, widząc w tym klucz do porozumienia się ze światem. Często jednak rzeczywistość nie przylega do tych marzeń. Oto fragment długiego listu Czytelnika z Krakowa:

„Szef, człowiek diablo ambitny, a przy tym kawaler bez żadnych obowiązków rodzinnych, ma fioła na punkcie pracy zawodowej, która – w jego opinii – powinna i mnie, jego zastępcę, wchłonąć bez reszty. W domu mam inne problemy: żona czuje się zaniedbywana, albowiem w jej mniemaniu – praca to tylko dodatek do pensji. Co gorsze – stawia mi przesadne, wygórowane wymagania seksualne. Jak w tej sytuacji uniknąć rozwodu?"

– Poznać żonę z szefem.

Kosztowne dziury

Tak zwane usługi dla ludności – szaleją! Doszło do tego, że od wstrzelonego w ścianę kołka trzeba płacić 80 złotych, od otworu wyborowanego elektryczną wiertarką – sto! Niejeden, oczywiście, sam mógłby zrobić w ścianie dziurę, gdyby miał odpowiedni sprzęt. Niestety, jest on kosztowny i trudno dostępny na rynku. W ogóle obecnie nie ma tanich dziur. Jest tylko jedna, którą każdy z nas ma za darmo:

– Dziura w budżecie domowym.

Procent szczęśliwych

Z sondaży Instytutu Gallupa wynika, że tylko 26 procent Brytyjczyków uważa się za ludzi szczęśliwych, we Francji wskaźnik szczęśliwych spadł do 19 proc., w RFN – do dziesięciu. Jak jest u nas – nie wiadomo, poza jednym konkretnym przypadkiem niejakiego Ferdynanda B. z Wrocławia. Oświadczył on, że jest szczęśliwy w 100 procentach, kiedy ujrzał zrabowany mu w restauracji, a odzyskany przez milicję pamiątkowy portfel z krokodylej skórki. Nie interesowała go wcale zawartość portfela, ale cieszył się jak dziecko, widząc na pochewce nietknięty przez kieszonkowca monogram w kształcie serduszka, sporządzony własnoręcznie rączką narzeczonej. A dużo miał pan pieniędzy? – spytano dla formalności.

– Ech, drobiazg – odparł pan Ferdynand – dwieście pięćdziesiąt pięć tysięcy.

Przyszłość maluchów

Po dobry dziecięcy wózek spacerowy doświadczeni pediatrzy radzą młodym matkom jechać do Krakowa. Ale podobno w Krakowie po wózek czeka się w kolejce rok i dłużej. W innych wózkach, choć kosztują nieraz 6 czy 8 tysięcy (!) dziecko czuje się źle, nie może zasnąć, a co gorsze – grozi mu skrzywienie kręgosłupa. Pozostają więc dwa rozwiązania: albo ktoś poważnie zajmie się wytwarzaniem dobrych (i możliwie tanich) wózków dziecięcych, albo trzeba będzie w przyszłości zwiększyć produkcję innych wózków.

– Inwalidzkich!

Zamiast ryb

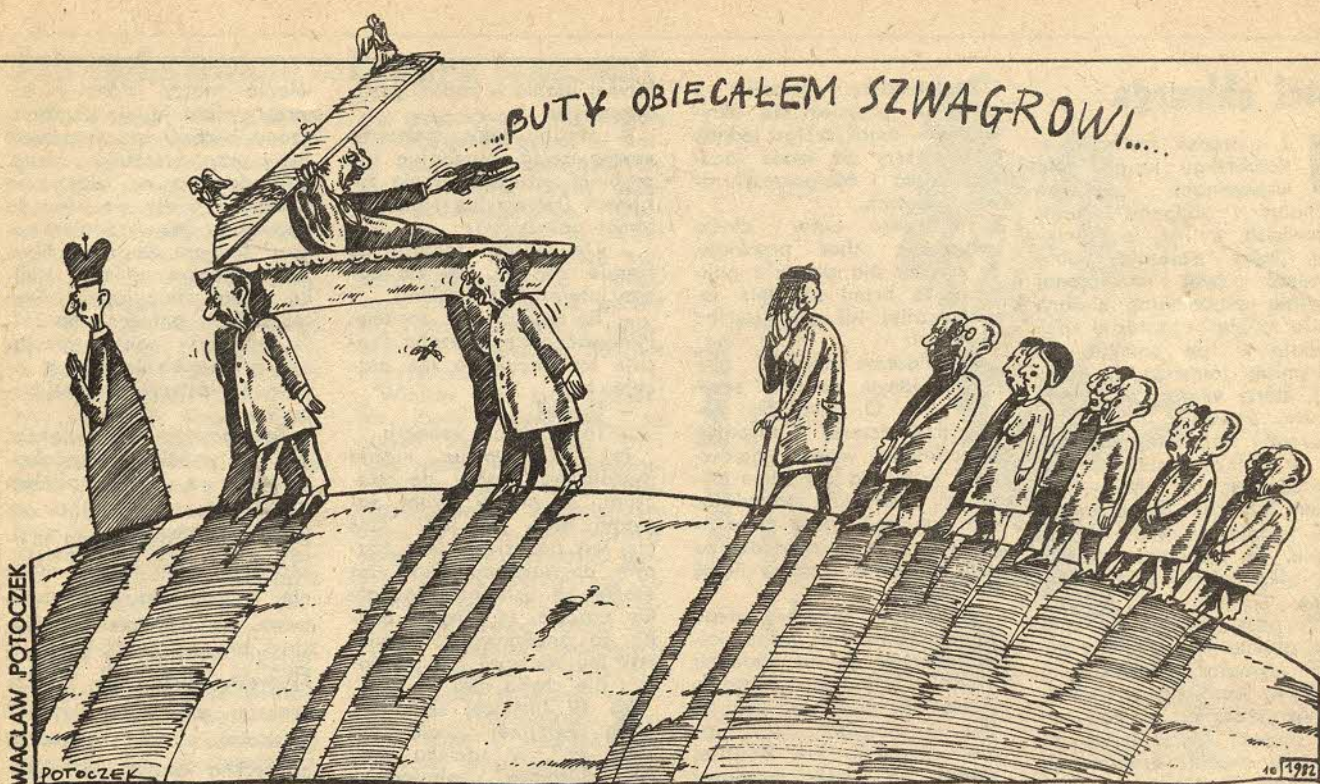
Latem br. w Bełchatowie otwarto sklep rybny. Było to niemałe wydarzenie, bowiem większość mieszkańców tej dużej osady górniczej ujrzało ryby po raz pierwszy nie na obrazku, lecz w naturze. Od tego czasu minęły długie tygodnie i w Bełchatowie znowu jest bezrybie, choć – jak się rzekło – warunki do handlu rybami są:

– Jest kierownik, są dwie ekspedientki i trzy szafy chłodnicze...

Optymistyczna prognoza

Rozdzielnictwem surowców, czego nie potrafiła robić dobrze Komisja Planowania ani resorty, zajmie się teraz Urząd Gospodarki Materiałowej. Pesymiści biadają jednak, że ta właśnie instytucja nie umiała nawet zorganizować skupu makulatury i butelek.

– Ale robiła to z wdziękiem – przypominają optymiści.



• Gdzie błądzą swoi, tam łatwiej trafiają obcy.

• Przez pracę — dzień krótszy; przez lenistwo — życie.

• Drobne ziarna — na dole, grube — na górze, a plewy i tak zawsze na wierzchu.

• Ludzkość spieszy się coraz bardziej. Oby tylko nie wyprzedziła człowieka!

• Żeby pukać trzeba najpierw mieć coś twardego.

• Niekiedy wystarczają — głowa i palec.

• Gdzie dwóch się bije, tam zaraz trzech bohaterów i dziesięciu zasłużonych.

• Lepsze minimum z maksimum, niż maksimum z minimum.

WŁADYSŁAW GRZESZCZYK

o nich się mówi

Kazimierz Żygulski

min. kultury i sztuki

objął resort z całym bagażem doświadczenia swych poprzedników, pułkownika Sokorskiego i działacza Tejchmy. Nowy minister winien wnieść wartości płynące z warsztatu naukowca (socjolog kultury).

Wszystko zależy od tego ile kultury zastosuje on w sztuce i czy uda się sztuka z kulturą.



Stanisław Kukuryka

min. budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych

Na razie wiemy czego nie należy oczekiwać od nowego szefa resortu. Zamków na lodzie, mostów dla pana starosty, drugiej Japonii.

A ponieważ jesień mamy piękną, więc obfitość grzybów, szczególnie zaś obrodził w naszych mieszkaniach grzyb budowlany.



Jak spekulowano zabawnym towarem?

Kiedy, jako początkujący humorysta, odwiedziłem zagraniczną redakcję czasopisma satyrycznego byłem zdumiony serdecznym, wręcz wylewnym przyjęciem, podczas którego czułem się tak, jakbym był co najmniej europejską sławą.

– Nie dziw się, mój drogi – rzekł nestor gospodarzy. – Na całym świecie musimy żyć jak bracia, gdyż satyrycy należą do niepopularnej mniejszości. Władze podejrzliwie patrzyły, patrzą i zawsze będą patrzeć nam na ręce, a czytelnicy traktują humorystę z lekceważącym niedowierzaniem. Jeśli my nawzajem nie będziemy poważać się i pomagać jeden drugiemu, to gorze nam!

W miarę upływu lat coraz pełniej rozumiałem te gorzkie słowa i przekonywałem się, że brak sympatii i życzliwego zainteresowania dziennikarzom tej niewdzięcznej specjalizacji towarzyszy aż poza grób. Dlatego też chciałbym do publicznej wiadomości podać garść opowieści, ciekawostek i dykteryjek wygrzebanych w trakcie poszukiwań materiałów do śmiertelnie poważnej pracy naukowej zajmującej się tą niepoważną prasą okresu międzywojennego. Okazało się bowiem, że nawet w zakresie tych badań musimy, „niepopularna mniejszość", być zdani na własne siły i sami zabiegać o wydobycie z niepamięci naszych poprzedników.

Wielkie było moje zdumienie, kiedy stwierdziłem, że nawet nie ustalona była ilość wesołych tych i zadziornych czasopism, które wówczas wydawano. Zabrałem się więc do pracy. Na pierwszy ogień poszły periodyki bardziej znane, wychodzące co najmniej parę lat, potem zaczęła się lawina fiszek, notatek i zapisków dotyczących „humorystycznej drobnicy". Każdy dzień szperania w archiwach i bibliotekach przynosił nowe i nieoczekiwane odkrycia. Wreszcie, bliski rozpaczy, zdecydowałem się przerwać sporządzanie tej listy na dwustu dziewięciu starannie udokumentowanych pozycjach, z których aż sto czternaście czasopism nie wychodziło dłużej niż rok. A nie uwzględniałem tam przecież jednodniówek!



Janusz Peciak

Przejść przez życie pięciobojem –
Ja się nawet jednym boję.

LANCET

IBIS-GRATKOWSKI

Teraz nastąpił czas uważnego przypatrzenia się zgromadzonej kolekcji tytułów. Czegoż tam nie było! „Abracadabra" i „Wesoły Budżet", „Źdźiebełko" i „Szubrawiec", „Dyszel w Głowie" i „Bociek Krotoszyński" oraz aż cztery pisma noszące tytuł „Diabeł", nie licząc „Rogatego", „Boruty" itp.

Wydawcami tej czeredy były osoby prywatne, koncerny prasowe, partie polityczne, zrzeszenia zawodowe, akademickie, a nawet stowarzyszenia religijne. W niektórych przypadkach dobra wola nakładców szła w parze z nieporadnością redaktorów, przynosząc natychmiastową plajtę przedsięwzięcia.

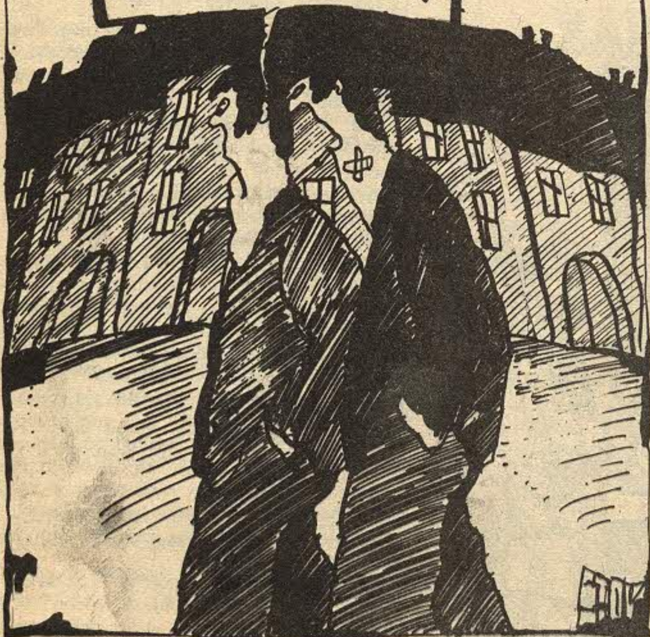
Prawda, że nie brak było i wydawców-pająków umiejących korzystać nawet z kryzysu i bezrobocia, a także z tego, że ludzie w trudnych momentach byli złaknieni śmiechu i rozrywki w nie mniejszym stopniu niż chleba.

Z satysfakcją, iż w warunkach obecnego kryzysu nie mam do czynienia z tym rodzajem spekulantów i naciągaczy – przypomnę ów typ dość rozpowszechniony, zwłaszcza w pierwszej połowie lat trzydziestych.

Oto w czasie wielkiego kryzysu pojawili się organizatorzy redakcji, którzy – wykorzystując niedostatek zamówień w drukarniach, możliwość kredytowego zdobycia papieru, a przede wszystkim zapotrzebowanie czytelnicze – rozpoczynali wprowadzanie tytułu na rynek. Rzecz jasna – zamieszczane utwory to tylko dzieła samego redaktora albo korsarskie przedruki z dawnych, czasem już polikwidowanych czasopism. Po zainkasowaniu gotówki z tytułu sprzedaży kilku numerów rzutki wydawca, redaktor i autor w jednej osobie – ulatniał się. Zmieniał mieszkanie, drukarza, tytuł pisma, ewentualnie szukał dalszych wierzycieli celem wyłudzenia pożyczek na zaliczki dla nowych kliszarni, drukarni etc. i cała afera zaczynała się od początku. Niektórzy „przedsiębiorcy" tak zasmakowali w podobnym procederze, że latami ciągnęli zyski z tego typu wyłudzeń.

Kiedy uświadomiłem sobie rozmiary zjawiska, przestałem się dziwić ogromnej ilości czasopism satyryczno-humorystycznych na ziemiach Drugiej Rzeczypospolitej i zrozumiałem dlaczego powierzchowne zetknięcie się z tą problematyką wywołuje wrażenie bogactwa tytułów, bujnego życia wydawniczego i zróżnicowania politycznego redakcji.

BOHDAN PIĄTKOWSKI



MAREK ADAM JAWORSKI

NIEBO W GĘBIE

W sobotni poranek wpadł do mnie Heniek jak bomba.

— Ratuj! — zawołał. — Ojciec przysłał mi telegram, abym mu pomógł przy wykopkach ziemniaków, a ja mam w baku tylko litr benzyny. Na mój numer rejestracyjny będę mógł wziąć dopiero pojutrze, a dzisiaj właśnie twój dzień... — spojrzał na mnie błagalnie.

Zwlokłem się z łóżka. Dwoma samochodami podjechaliśmy pod stację benzynową.

Tłumaczę panu w niebieskim kombinezonie, żeby „kartkę benzynową" ostemplował mnie, a płyn wlał do malucha sąsiada.

— Nie mogę — on na to. — Odnośne przepisy nie pozwalają.

— Rozumiem, ale jest stan wyższej konieczności. Kartofle nie mogą czekać, a wódę przecież pan lubi. Bądź pan człowiekiem!

Człowiek to brzmi dumnie, ale w literaturze i na akademiach, toteż on powtarzał ze stoickim spokojem:

— Przepisy nie pozwalają. Ja napełnię bak, a potem sobie panowie poprzelewają.

Co było robić... Usłużnie podał nam, a jakże, konewkę, abyśmy się zbytnio nie męczyli. Stanęliśmy w odległości jakichś dziesięciu metrów.

Odkręciłem bak, Heniek zanurzył rurkę w zbiorniku, a jej drugi koniec wziął do ust. Zdrowo pociągnął, bo aż w ustach mu zabulgotało.

— Cholera, jakie to świństwo! — zaharczał spluwając.

Ale zaczęło już ciec. Opornie — po dwóch litrach operację trzeba było powtórzyć i miała ona podobny przebieg. Heniek znów zakrztusił się benzyną. Ostatecznie jakoś — po pół godzinie — uporał się z zadaniem.

Wrócił ze wsi następnego dnia wieczorem i też wpadł do mnie, choć może już nie jak bomba, ale, powiedzmy, granat.

— Miałem kłopoty w drodze! — zawołał.

— Nie starczyło ci benzyny?

— Starczyło, ale zahaczył mnie patrol milicyjny. Kazano mi chuchnąć. „Panie, zawołał milicjant, cóż to za wstrętny bimber pił pan z samego rana? Będzie pan dmuchał w balonik!" No i dmuchałem. Początkowo chciałem wytłumaczyć, że to nie bimber, ale benzyna. Bałem się jednak, że wpakuje mi mandat. Może benzyny kierowcom też pić nie wolno?

— I co było dalej?

— W porządku. Próba niczego nie wykazała, ale milicjant pogroził mi palcem: „Już ja sobie pana dobrze zapamiętam!"

P.S. Tekst ten ciepło dedykuję stacji benzynowej nr 527 w Lublinie. Konewkę oddaliśmy. Dziękujemy!





ZBIGNIEW SZULC

ANDRZEJ DREŻEWSKI
(debiut)

SIEROTA

Dotychczas wykonywane przeze mnie zawody nie dawały mi satysfakcji, ani dostatecznych pieniędzy. Postanowiłem tedy zostać sierotą. Decydując się na nową, a tak opłacalną profesję wiedziałem, że konkurencja jest silna.

Eliminowanie członków rodziny rozpocząłem nieśmiało od wuja Karola, informując listownie mieszkańców drugiego obszaru płatniczego, że z powodu kosztów leczenia i pogrzebu żebrzę na ulicy do kapelusza.

Nastały dni pełne melancholii i wyczekiwania.

Wreszcie wujek dowiedział się o swojej śmierci kiedy odpaliłem mu z paczki pięć plasterków salami. Trochę mało, ale przecież zmarł na katar żołądka.

— Wyjątkowo smaczne — chwalił pokarm, oblizując się długo po spożyciu. — Czy nie możesz jeszcze raz mnie uśmiercić?

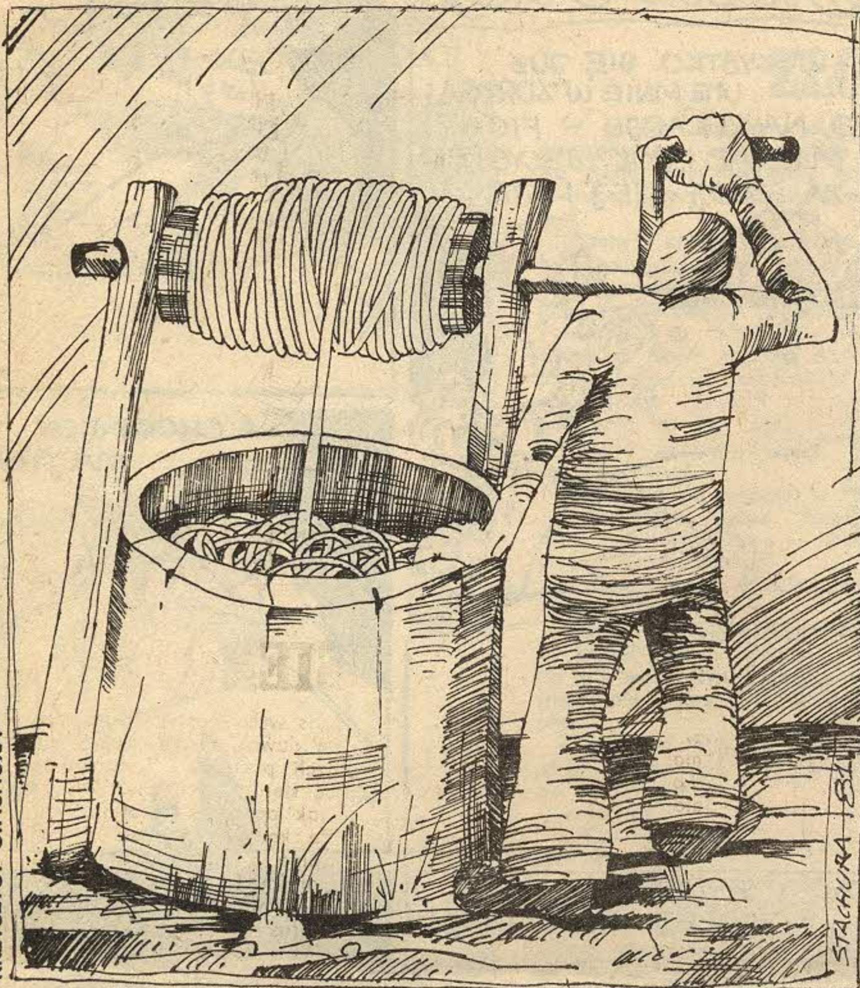
Nie mogłem powielać zgonu wuja Karola. A nuż nadawcy darów prowadzą imienne kartoteki zmarłych Polaków w kraju? Jeżeli tak jest, to figurujemy jako naród o parę milionów mniejszy niż faktycznie.

Kaligraficznym pismem, poplamionym od łez, uprzejmie donosiłem o kolejnych chorobach i szybkich zgonach: ciotki Ameliny (nie mogła pogodzić się ze śmiercią nieodżałowanego Karola), stryja Bernarda (zmarł z głodu), kuzynki Jeżyny (rzuciła się z rozpaczy pod motocykl z przyczepą). Adresaci czytali o moim zadłużeniu w kasie pogrzebowej, które wzrastało w takim tempie, że niebawem mogło się zrównać z państwowym.

Rodzina w zasadzie godziła się na taki stan rzeczy.

Nie chciał tylko umierać dziadek.

— Po co mi obiecujesz rajfle? — wrzeszczał w konwulsji. — Za dziewczynkami latać już nie mogę. Amerykanie wiedzą wszystko dzięki sputnikom! Od-

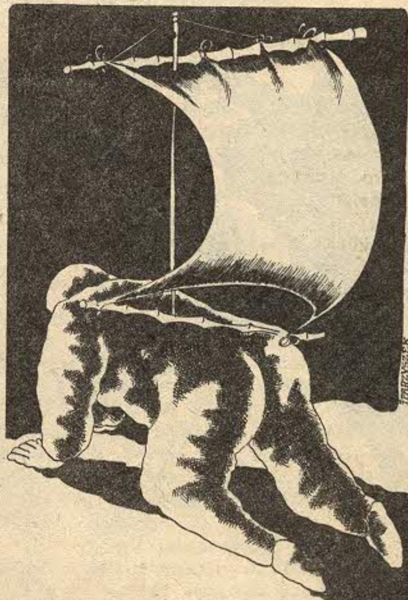


KRZYSZTOF STACHURA

Z ZOOLOGII

Tchórze
śpiewają zawsze w chórze.

TADEUSZ GICGIER



IRENEUSZ PARZYSZEK

notują w grafiku i w swoim czasie za oszustwo dostanę kulę w łeb. Wiem co się dzieje w Salwadorze i Bejrucie.

Ale i bez śmierci dziadka stopniowo stawałem się krezusem. Rosło konto dewizowe. Dary odbierałem już własnym samochodem. Kościelne po służeniach do mszy i częstych spowiedziach. Rodził się projekt budowy domku jednorodzinnego z tarasem (7 milionów).

Niestety, któregoś dnia doznałem kolosalnego zawodu: wszyscy krewni byli już pochowani. Ostatnią przysługę oddałem stryjence Hili (zadeptana w kolejce po przydziałowy kilogram kartofli). W tej sytuacji zmuszony byłem podjąć decyzję szybkiego ożenku z kobietą wielodzietną, odrzucając koncepcję fikcyjnego tworzenia członków rodziny. A nuż znajdzie się jakaś parszywa owca i odnotuje w grafiku?

Absencję na weselu zapowiedział dziadek. Nie bardzo wiem dlaczego. Może z powodu krnąbrnego charakteru, albo też ze zmęczenia po ostatnim dyżurze na bazarze, gdzie sprzedajemy dary. □

JACEK SAWASZKIEWICZ

ZAPAŁ

Przyszedł do nas jeden znajomy pan, żeby pogawędzić. Poczęstowaliśmy go wodą mineralną i krakersami.

– Bardzo lubimy gawędzić na różne tematy – powiedział mój tato. – Szczególnie, jeżeli jest o czym.

– Tematów nie brakuje – zapewnił gość. – Możemy sobie pogawędzić na przykład o lotach w kosmos.

Ojciec łyknął wody mineralnej i rzekł ostrożnie:

– Temat rzeka.

– Może i tak – zgodził się pan. – Ale w gruncie rzeczy nic nadzwyczajnego. Każdy by tam poleciał. Żeby tylko chcieli wziąć.

Przyjrzeliśmy się panu z ciekawością.

– Przecież to piekielnie ryzykowne – zauważył tato.

Gość wzruszył ramionami.

– Ja się tam ryzyka nie boję – odparł. – Raz po pijaku wlazłem na latarnię.

Pokręciliśmy głowami z niedowierzaniem.

– Mój tato ma stracha wejść nawet na dach, żeby naprawić antenę od telewizora – powiedziałem.

Z kolei pan pokręcił głową.

– Naprawdę? – spytał. – Ja wam to mogę zrobić w try miga. Wystarczy jak sobie golnę dla kurażu.

– Lepiej nie – odrzekł ojciec. – Dach jest spadzisty.

Gość dopił swoją wodę mineralną i postawił przed nami pustą szklankę.

– Bez obaw – powiedział. – Tylko mi nalejcie.

Tatko z ociąganiem przyniósł z kuchni butelkę kartkowego winiaku. Znajomy pan poczęstował się kilka razy, a potem czknął i wstał z krzesła.

– Chodźmy! – rozkazał.

Poszliśmy. Drabinkę prowadzącą ze strychu na dach odnaleźliśmy z trudem.

– Może pan jednak zrezygnuje? – zaproponował tato. – Szczebelki są przerdzewiałe.

– Co to, to nie! – uparł się gość.

Później wspiął się po drabince, otworzył klapę w dachu i wystawił głowę na zewnątrz. Po pewnym czasie cofnął się nieco.

– Chyba za mało golnąłem – stwierdził.

Ojciec rozłożył ręce.

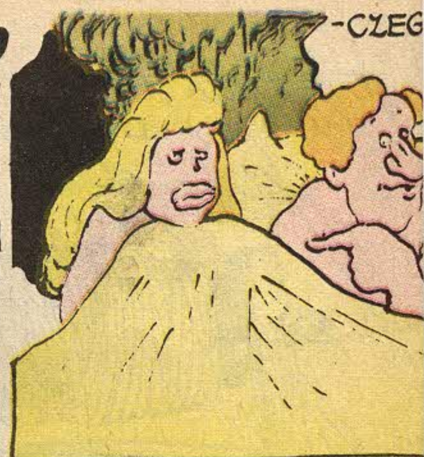
– Niestety, więcej nie mamy – oznajmił z żalem.

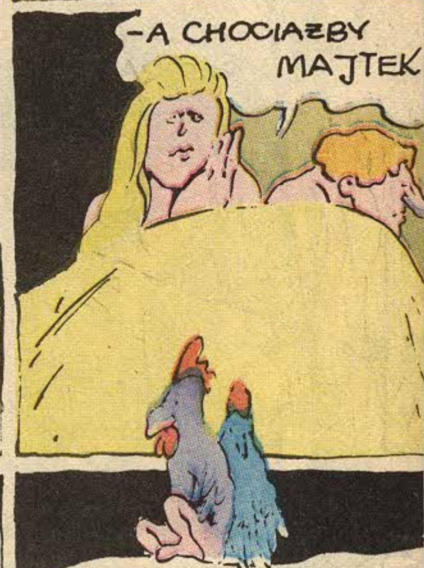
Znajomy pan znowu czknął, a następnie zleciał z drabinki.

To jakby osłabiło w nim upór. Nawet pozwolił odprowadzić się do domu. Ale i tak zrobił na nas dobre wrażenie. Jest odważny, ma dobre chęci i zapał. Tylko warunków nie ma.

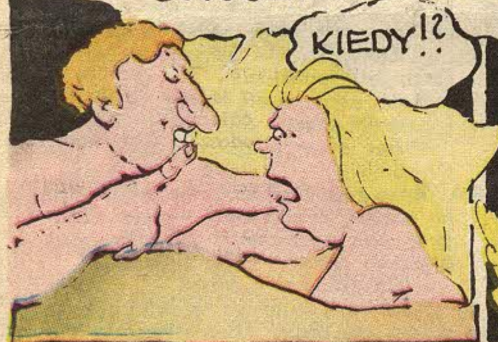
wygnani z raju

-MAM DOŚĆ TEGO! WSZYSTKO SIĘ JUŻ WE MNIE WZDRYGA:
Z RANA FIGA! NA OBIAD, NA KOLACJĘ – FIGA
I TAK PRZEZ CAŁY TYDZIEŃ, MIESIĄC I ROK WSZYSTEK
ZA CAŁY POKARM FIGA, A ZA STRÓJ – JEJ LISTEK!





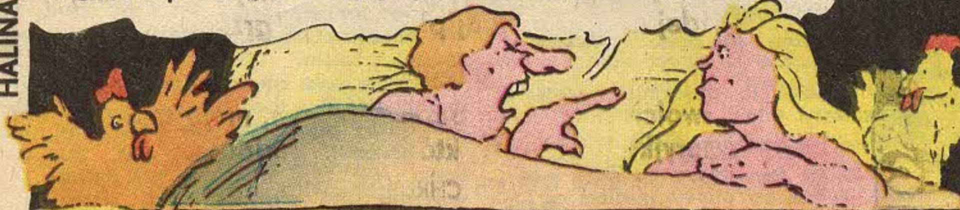
-TOĆ WYGNALI NAS STAMTĄD I ŻYJEMY W KRAJU
GDZIE REFORMĄ I PŁACĄ W CIĄGŁEJ EWOLUCJI
DOJDZIEMY DO CELU!



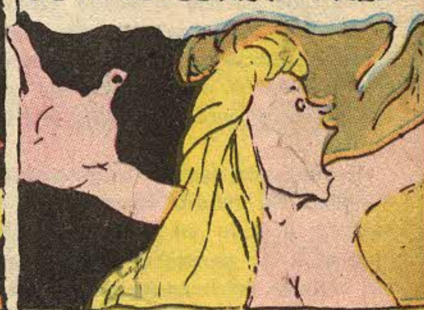
-JAK NAJKRÓCEJ. DROGA JEST WPRAWDZ
STROMA I DALEK
LECZ Z PEWNOŚCIĄ NASZ WNUCZEK
MAJTEK SIĘ DOCZEK



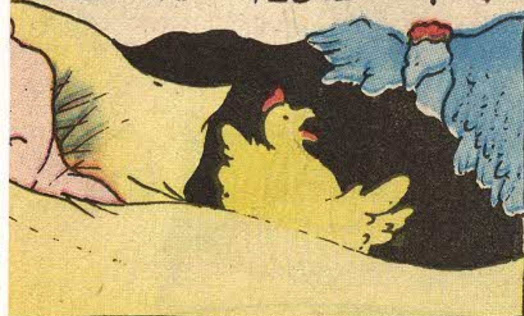
-MOGŁAŚ POD JABŁONKĄ Z WĘŻEM NIE RAJCOWAĆ!
GDYBYŻ TO BYŁ KRASIŃSKI LUB SAM URBAN MIŁY,
MOŻE UWIERZYŁBYM, IŻ NIE MIAŁAŚ SIŁY
BY SIĘ OPRZEĆ! JEDNAKŻE SYTUACJĘ ZMIENIA
FLIRT Z WĘŻEM, CO WYZBYTY LUDZKIEGO SUMIENIA
SAMOFINANSOWANIE ZOSTAWIŁ NAM W SPADKU
I PONURĄ ZAPOWIEDŹ WYSOKICH PODATKÓW...

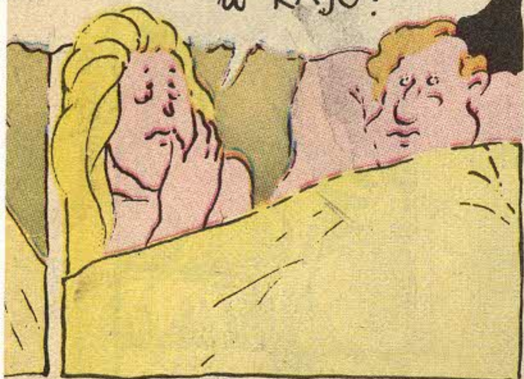


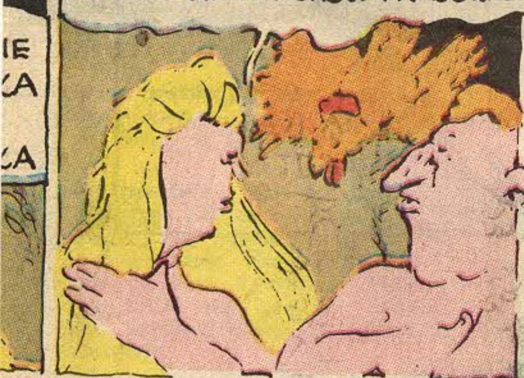
-SKOŃCZ, ADASIU! BOWI
ŻE CHCESZ NA MNIE PR
PODCZAS GDY PRZYCZYN
GDYBYŚ ODKRYŁ PRZED

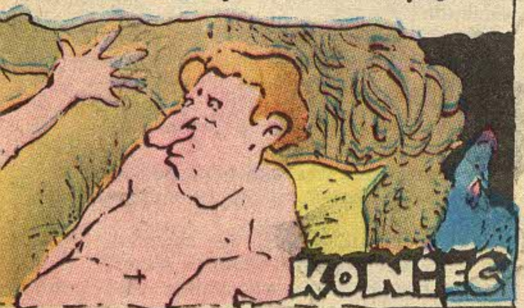


HALINA SIBIŃSKA









MARIAN HIKEL

ZŁOTA RYBKA

W zeszłym tygodniu, okazyjnie, za niewygórowaną cenę nabyłem akwariową rybkę. Była niezwykle oryginalna, o łusce, która lśniła dukatowym złotem.

Dumny z zakupu wpuściłem mój nabytek do akwarium, gdzie trzymałem najcenniejsze okazy. Dosypałem pokarmu, wypolerowałem frontową szybkę i zasiadłem w fotelu, aby cieszyć się widokiem moich pupilek. Aby sycić się pełnią szczęścia otworzyłem butelkę chłodzonego „Żywca". A i rybka przypatrywała mi się uważnie. Otwierała przy tym pyszczek, jakby usiłowała coś powiedzieć.

Wydawała się szeptać: — Piwa!

— Myślałem, że na żywca biorą tylko ryby drapieżne — oznajmiłem głośno i zarechotałem.

— Suszy mnie! — odczytywałem z ruchu pyszczka.

Drżącą z emocji ręką nalałem kilka kropel piwa na łyżeczkę i zbliżyłem do tafli wody. Rybka podpłynęła na powierzchnię i łapczywie spiła musujący płyn.

— Teraz mi lepiej! — głośno oświadczyła wystawiając z wody łebek, a po chwili dodała:

— Jeszcze!

— Czy ty jesteś...? — zapytałem zaszokowany.

— Jasne! — powiedziała ze źle ukrywanym zniecierpliwieniem. — Ta baśniowa Złota Rybka to właśnie ja! Jestem właściwie Złotym Rybem i mogę spełnić twoje trzy życzenia, tylko spełnię przedtem toast za naszą pomyślność! — mrugnęła.

Napełniłem łyżeczkę i kiedy Złoty Ryb łapczywie spijał piwo — szepnąłem swoje pierwsze życzenie.

Złoty Ryb aż zachłysnął się z wrażenia i poszedł pod wodę.

— Ta blondyna z piątego piętra? — bardziej oznajmił niż pytał, kiedy wypłynął na powierzchnię.

— Tylko czy spełnisz? — upewniałem się.

— Tego wprawdzie nie powinienem z pobudek moralnych, ale wyjątkowo... — rzekł pobłażliwie. — Mam nadzieję, że dalsze życzenia nie będą budzić moich skrupułów...

— Oczywiście! Chodzi mi o większe mieszkanie i podwyżkę — skwapliwie wyjaśniłem.

Zadowolona mina Złotego Ryba upewniła mnie, że tym razem nie ma wahań moralnych.

— Kiedy spełnisz moje życzenia?

— Spokojnie! Nie pali się! — oznajmił tak stanowczo jakby był ekspertem pożarnictwa. — Pierwej zrobisz coś dla mnie! Po pierwsze chcę mieć akwarium tylko dla siebie. Cała reszta towarzystwa może iść do wanny!

W mig przeniosłem inne rybki do dużego słoja.

— Dobra! — oświadczył Złoty Ryb. — Teraz przystaw mi telewizor!

Przeniosłem telewizor do pokoju wypoczynkowego, zostawiając dzieciom tranzystorek radiowy.

Nazajutrz nic nie wskazywało, żeby moja sytuacja miała ulec zmianie. Przeciwnie, dostałem naganę za bałagan w kartotece.

Po powrocie do domu stwierdziłem, iż pękła rura w pokoju dzieci, które musiałem przenieść do przedpokoju.

Rozżalony stanąłem przed Złotym Rybem.

— I co z twoją obietnicą? — rzekłem twardo. — Gdzie morale?

— Na wszystko przyjdzie czas — odparł. — Grunt się nie gorączkować. A na dzisiejszy wieczór wpuścisz do mnie te trzy bladoróżowe rybki, które pływają w akwarium pod oknem. Do tego koniak z łyżeczki i dasz mi tatara bez pieprzu! — A widząc, że zamierzam protestować dodał: — Bez gadania! Bo się rozmyślę i twoje życzenia może spełnić wtedy kto inny.

Zacisnąłem zęby i posłusznie spełniłem polecenie.

Następnego dnia wręczono mi ostrzeżenie za spóźnienie do pracy spowodowane całonocną próbą usunięcia szkód spowodowanych powodzią w pokoju dzieci.

Po powrocie do domu wziąłem z kuchni siateczkę i w lansadach zbliżyłem się do akwarium.

— Na dzisiaj wpuścisz mi tę rybkę z akwarium stojącego na białej szafce — dysponował Ryb. — Do tego porcja whisky i... co jest, do diabła?!

Odłowiłem go szybko i wpakowałem do niewielkiego słoika.

Jutro oddam go mojej głuchej cioci, która słynie z przyrządzania znakomitej ryby po grecku.

Będę miał przynajmniej satysfakcję moralną. □

ZNOJNE WSPOMNIENIE

Wspominam cudzołóstwo z nią znojne, że ech!
Każdej nocy najmniej pięciokrotny grzech.

LEKTURA

W twoich błękitnych oczach czytam, moja mała,
historyjkę o twierdzy, która się... poddała.

JACEK CHRUŚCIELEWICZ

ŁATWOWIERNA
Była bardzo łatwowierna
i wygodny miała piernat.
Ale w końcu, jak to bywa,
nie ma na nim kto spoczywać.

Choćby nadal chciała wierzyć
w siłę rozdawanych przeżyć,
piernat stracił na wygodzie
i nie służy jako bodziec.

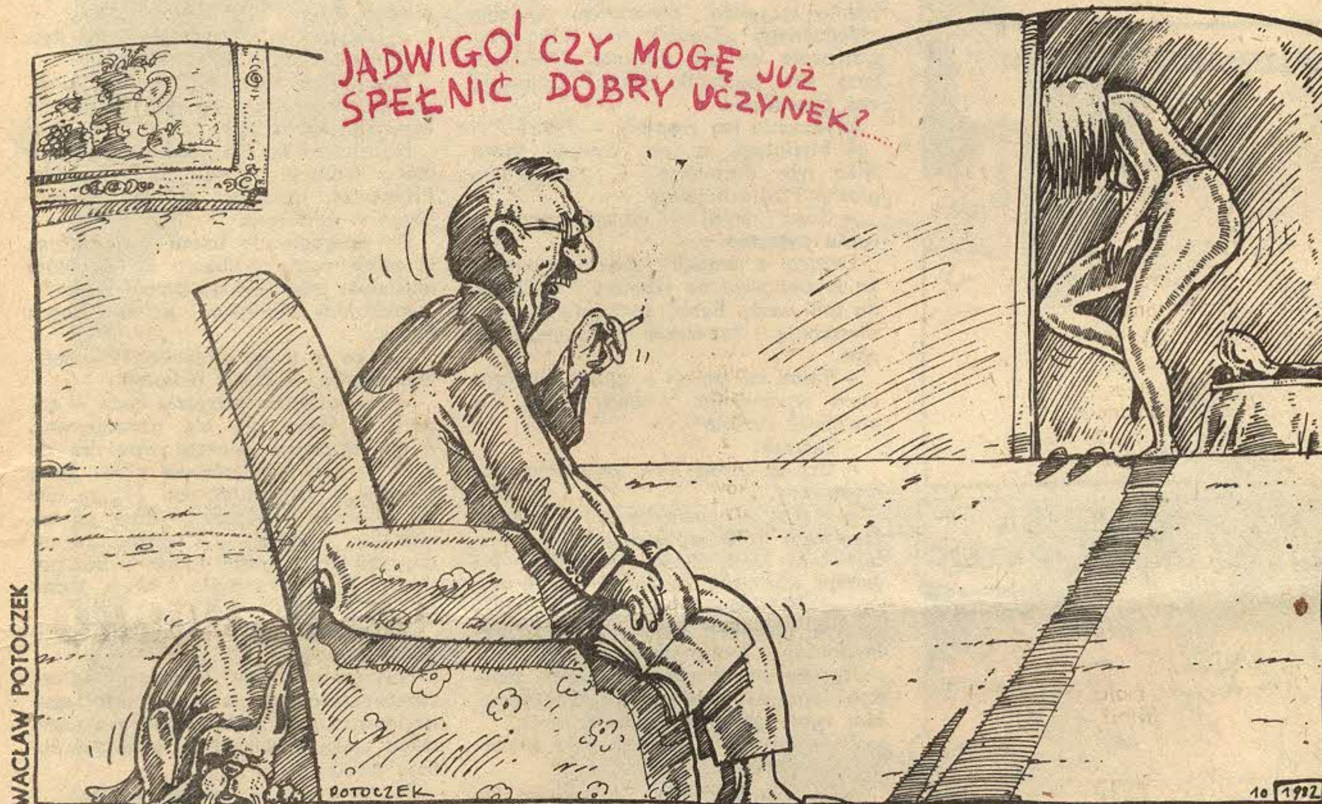
Morał z tego trza zaczerpnąć
jako słone śledzie z beczki:
nie piernaty są dziś modne,
tylko P K O książeczki.

PORZUCONA NIE PŁACZE
Odszedł?...
To niewielka dla mnie strata.
Za m a ł e g o miał on
– f i a t a!

ZAWIEDZIONA
Zawiedziona małżeństwem
biegnie do ołtarza...
– Daj mi Boże, drugim razem
chłopa pantoflarza...

PYTANIE O WINĘ
On odebrał jej niewinność
i zostawił innym.
Ale pytam was kochani –
czy jest czemuś winny?...

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI (prosimy autora o podanie adresu)



WACŁAW POTOCZEK

JANUSZ PRZYBYSZ

RECEPTA NA SZCZĘŚCIE

Czy istnieje szczęście? Spróbujmy to ustalić w sondzie:

Piegowaty: – Szczęście jest, kiedy dwóch się kocha. To znaczy dwoje.

Pryszczaty: – Nie wiem, co to jest szczęście.

Chudy: – Szczęścia nie ma.

Łysy: – No, ja myślę, że szczęście jest, kiedy ktoś ma szczęście.

Zołzowaty: – Oczywiście, szczęście jest. Mówił mi wujo.

A więc, wiemy, co sprzyja szczęściu. Trzeba mieć szczęście oraz rodzinę i wuja, najlepiej w Ameryce.

Obecnie prześledzimy to zagadnienie na przykładach rodzinnych. Istnieją dwa zasadnicze typy rodzin: typ konsumpcyjny czyli hedonistyczny, gdzie ojciec ziewa, matka się czochra, córka ćmi, a zięć dłubie w nosie i gdzie o szczęściu chyba nie może być mowy, oraz typ wytwórczy, zwany też pracowitym, gdzie tatka tka i każdy tka co komu i kiedy się da. Czy jednak pracowitość ta może zapewnić szczęście? Popatrzmy na wymienioną rodzinę:

Matka: – Olaboga, przecie muszę poprasować koszule!

Ojciec: – Zostaw matka te koszule, się nie morduj koszulami, lekarz ci zabronił, ja się pomorduję.

Córka: – Niech ojciec puści to żelazko, bo ojca prąd siekniе, wie ojciec, że drut przeżarło i że Franek będzie izolować.

Zięć Franek: – Tak, tak, zaraz będę izolować, gdzieś tu plaster był zdaje się, matka, matka plastra nie widziała?

Matka: – Plastra to ja w ogóle nie widziałam, Franek.

Franek: – No to ja już nie wiem, czym ja mam izolować w tym bajzlu.

Ojciec: – To ty wiesz, Franek, ja ci powiem, ty nie izoluj, bo cię prąd siekniе i my zostawmy to prasowanie na jutro.

Matka: – Tak też najlepiej będzie. Szczęście ty miałeś ojciec, że cię nie siekło.

Tak więc już wiemy, że szczęście jest możliwe i co jest źródłem szczęścia: w żadnym razie nie należy prasować koszul. Prasowanie należy odłożyć na jutro. □

ZYGMUNT FIJAS

SILVA RERUM; STAJNIA AUGIASZA, CZYLI GROCH Z KAPUSTĄ

Co to jest groch z kapustą albo kapusta z grochem wiemy, bo jedliśmy lub jadamy tę potrawę. Przenośnie ta grochokapusta oznacza bałagan panujący w pracowniach malarzy, „pissaży", że zapożyczę tę słowogrę, zdaje się od nieboszczyka Słonimskiego. Łacińskie „silva rerum" (las różnych rzeczy) oznacza mniej więcej to samo co... kapustogroch.

Stajnia zaś Augiasza oznacza stajnię mitycznego greckiego króla, do tego stopnia zapełnioną łajnem, że siłacz grecki Herkules musiał wpuścić w nią prąd rzeczny, aby owo końskie pomieszczenie doprowadzić do przyzwoitego stanu.

Dałem kilka nazw temu felietonowi, bo wzrok mój padł na świstek papieru, na którym zanotowałem początek dawnej śpiewki tak brzmiący:

„Krakowski jestem fiakier
I łeb mam podchmielony,
Cylinder mam na bakier,
Hawelok wyczyszczony".

Zacząłem grzebać w leżących na podłodze papierzydłach i znalazłem tekst równie starej piosenki, chyba też krakowskiej:

„Przyleciała mała pszczółka
I zapyliła kwiat.
Czemużeś mi, moja miła,
Tak zawiązła świat?"

Stanął przed moimi oczami rynek z Sukiennicami, stanął archaiczny kościół świętego Wojciecha, starożytna Wieża Ratuszowa, w której podziemiach można się było napić czarnej kawy z malarzem Karolakiem, zjeść lody i poznać z jego ówczesną, arcypiękną znajomą. Przed oczami mojej duszy stanęła panorama widziana z wieży Kościoła Mariackiego, polichromowanego przez Matejkę.

Cała przeszłość krakowska sprzed opuszczenia smoczego grodu na stały pobyt do łódzkiego Manczesteru zajaśniała przed moimi oczami wraz z Wisłą zaaugiaszoną przez niedaleki oświęcimski przemysł, miejscowe huty i inne zakłady równie mało atrakcyjne w sensie powonieniowo-zdrowotnym.

Przez krótki czas zajmowałem pokój w domu akademickim przy uliczce Kanoniczej, blisko Wawelu, gdzie mieszkał Stanisław Wyspiański, choć w mej pamięci kwatera owa kojarzyła się mniej z wielką twórczością Mistrza niż z niezbyt estetycznymi realiami tej krakowskiej dzielnicy, którą atakowały myszy, wiślana wilgoć i zniechlujała niedbałość łyków tego c.k. miasta.

Kędyż, och, kędyż są niegdysiejsze brudy i śniegi, że strawestuję Villona, wybitnego francuskiego poetę i opryszka.

Aby przejść do spraw milszych naszemu sercu, przytoczmy żartobliwą frazę Juliusza Słowackiego. Będzie przylegać do całości, a pisana jest, jak przez dobrego żartownisia:

„Bo mnie matka miła
Na słowika urodziła,
A ja wziąwszy taki głos,
Ze słowika jestem kos...

A to wszystko są nonsensa,
Te moje wierszyki nowe,
Gdzie się język mój wałęsa
I bawi zęby trzonowe".

Dzięki pomieszczeniu tu tych wszystkich drobiazgów mogłem zniszczyć część luźnych zapisków zalegających mój „pissarski" stół, bardziej przypominający stajnię Augiasza, niźli szanujący się warsztat literacki. Nie pozbędę się jedynie głęboko zasiedziałego w mym sercu wspomnienia o arcycudnej znajomej malarza Karolaka, która fundowała nam lody. ☐



WACŁAW POTOCZEK

LESZEK MARUTA

UZDROWISKO

Pojechałem do uzdrowiska Sz. leczyć skołatane nerwy. Po całym roku wytężonej pracy, istnej harówki, należy mi się chyba jakiś odpoczynek, kuracja...

Uzdrowisko Sz., położone w przepięknej kotlinie, osłonięte ze wszystkich stron od wiatrów, otoczone lesistymi górami, przecięte wstęgą bystrej, górskiej rzeki, słynie szeroko jako ośrodek leczenia nerwic i chorób serca.

Z dworca PKS zabrał mnie dorożką woźnica-góral, ubrany w tradycyjne „portki" sukienne, barwny serdak i w okrągłym kapelusiku z muszelkami na głowie.

Wdychając ożywcze, krystaliczne powietrze, rozglądałem się z ciekawością po okolicy. Czułem, jak napięte dotąd nerwy rozluźniają się, odprężają. Oj, dobrze mi tu będzie, wypocznę, pospaceruję sobie, wód rozmaitych popiję.

W pewnej chwili uwagę mą zwrócił ogromny głaz, sterczący pośrodku rzeki, na którego czubku rosło karłowate drzewko.

— Nie wiecie, gazdo, skąd się tu

cd. na stronie 12

cd. ze strony 11

wzięła ta skała, na samym środku rzeki? — zagadnąłem górala, chcąc rozmową skrócić sobie drogę do odległego sanatorium.

— A dyć, panocku, diabeł ci ją rzucił łońskiego roku, łkący rozbić sanatoryje, co je tu pobudowali, paskudząc całą okolicę. Ale źle wycelował, bo nie ma ci on przecież celownika laserowego, jak te, tfu, hamerykańskie odrzutowce, co to je w telewizyi pokazują, no i upuścił, bezkurcyja jedna, między kamieńce. Tera, to popod tą skałą topielec żyje, wodnik, wciągający ceprów w topiel, kiedy to po pijoku wracają z dyskoteki.

Wzdrygnąłem się cały. Dreszcz przebiegł mi po plecach, kilka nerwów znów mi się zwinęło w kłębek.

Droga wiodła teraz skrajem lasu, wzdłuż moczarów, od których wionęło zimnem, wilgocią i pleśnią.

— A zaś hań tam, to dyskoteka jedna stojała, ino że się zapadła pod ziemię, razem z tańcownikami, bo takie breweryje, panocku wyprawiali, tak ci tam dokazywali, gięli się kieby te witki wierzbowe i obłapiali bezwstydnie, że grzech ino i obraza boska. Totez wsyscy pozamieniani zostali w żaby i jascurki, za wyjątkiem dyskdżokeja, który przemieniony został w kamień, zeby zamilkł na wieki. W księżycowe noce, to i widać w topieli te bezecne pary, jak tańcują i hulają po trzęsawisku, no a w bezksiężycowe, to i światełko kolorowe jakieś mignie, i błyśnie casem z głębiny ten, no jakze mu tam, stroboskop... Tfu! Sodoma i Gomora.

Pot zimny wystąpił mi na czoło. Nie będę ukrywał, że i ja czasem lubię pohasać sobie w dyskotece dla czterdziestolatków.

Koń powoli człapał pod górę. Mgły wieczorne wypełzły spod ziemi i rozsnuły się po stokach. W dali zahuczała sowa. Góral wskazał biczyskiem na rozburzone fundamenty przy drodze.

— Restauracyja tu niegdyś stojała, gieesu. Ale któregoś roku kierownik zwariował, zapisał się do komitetu antyalkoholowego i odmówił wysynku wódki. To wicie, panocku, co mu te bezkurcyje pijoki zrobili?

— No? — zapytałem z lękiem. Ostatnio i ja stale odmawiam wypicia, bodaj kieliszka. Serce, nerwy, wątroba...

— Ano, przewiązanego rozzazonym do cerwoności łańcuchem utopili w potoku! I jesce mu, psiekrwie, śpiewali: „Z góry, z góry, nie z wysoka, wrzucimy go do potoka! Do potoka, do bystrego, nie wypłynie nigdy śniego!"

— Jezus Maria! — jęknąłem. Dostałem gęsiej skórki.

— Tak, tak, panocku, górale są mściwi, ale kochają ślebodę — ciągnął woźnica. — Widzicie, hań, ten park i ten dom zdrojowy? Dyrekcja uzdrowiska się tu mieści. A miał ci ten dyrechtór uzdrowiska zastępcę, bystrego, śmigłego, który zgoła był i młodszy i zdolniejsy od niego. Przechodził go we wsystkim. To ten dyrechtór taką do niego zapałał złością, taką nienawiścią, ze go zabił, a głowę urżnął i rzucił w krzaki. A ta głowa, to pokazała się wkrótce, tu gdzie ta polana, i po dziś dzień się pokazuje. Dotąd nieboraka żałują w gminie: „Ten, to miał głowę..."

Przerażony do najwyższego stopnia, utkwiłem błędny wzrok w ciemniejącej przede mną polanie, rozświetlonej tylko trupim światłem księżyca.

— No, już, chwała Panu Bogu, dojezdzamy scęśliwie — westchnął góral. — Juz i deptak widać. Diabeł się tu rok temu pokazał, przesedł jakby nigdy nic między wcasowicami i wlazł do lasu. Narąbał tam jawor. A kto chciał potem do krzty ten jawor zrąbać, to go zaraz pokręciło...

— Zawracaj! — wrzasnąłem dziko.
— Natychmiast zawracaj!!

Popędziliśmy z powrotem w dół, co koń wyskoczy, w stronę dworca autobusowego. □

ADAM BIEŃKOWSKI

ZOFIA LOREN W GRONIE POLSKICH AJENTÓW

Cały świat obiegła wiadomość, że słynna aktorka Zofia Loren przebywała w więzieniu włoskim za niepłacenie podatków. Po wypuszczeniu z kryminału Zofia Loren oświadczyła, że nigdy już nie zagra w filmie włoskim. I tu duże brawa dla naszej rodzimej kinematografii! Po tym oświadczeniu — jak głosi fama — przedstawiciele Filmu Polskiego zwrócili się do znanej aktorki z propozycją zagrania u nas w kraju. Pani Zofia oświadczyła, że i owszem może, ale obecnie ma problemy z lokatą kapitału, do którego takie duże pretensje zgłasza włoski fiskus. I tu nastąpiło zderzenie dwóch, jak mówią marksiści, nie antagonistycznych sprzężeń. Wielkich petrodolarów artystki i plajtującej firmy pt. „FP".

Dyskusja w „Polityce" (prof. Płażyński kontra red. Kałużyński) bezlitośnie obnażyła miserię naszej kinematografii. Potrzeba nam dewiz, jeszcze raz dewiz, taśmy i słynnych nazwisk. Pani Zofia Loren spełnia te warunki, postanowiono więc oddać jej w ajencję firmę pt. „FP". Po to, by ominąć pewne i u nas dziwne przepisy podatkowe ustalono, że będzie to firma polonijna. Jak wiadomo, każdy słynny człowiek na świecie ma polskie pochodzenie. Historycy, specjaliści od drzew genealogicznych ustalili, że przodek pani Zofii był Polakiem i pochodził z miasta Łodzi. Naukowcy spierają się tylko czy nosił on nazwisko Lorentowicz, dosyć znane na Piotrkowskiej, czy Lorens, czy też Lorenzweig. To ostatnie ze względów eksportowych byłoby najbardziej kasowe.

Faktem jest, że pani Zofia odwiedziła Łódź (zamieszczamy zdjęcie jedyne zresztą na świecie!), wytwórnię



ADAM BIEŃKOWSKI

filmową i podobno podpisała kontrakt na realizację filmu, w którym zagra główną rolę. Jest to bombowa farsa wg. scenariusza Zdzisława Krasińskiego pt. „LA RECOMPENSATA". W filmie tym weźmie również udział nasz słynny zespół $2+1=5$. Jesteśmy pierwszym pismem kasowej informacji, które nie tylko ujawnia tę niecodzienną transakcję lecz pragnie także zapewnić Czytelników, że o dalszych poczynaniach nowej firmy pn. „FILMPOLLOREN" będzie informować na bieżąco. □

BOHDAN PIĄTKOWSKI

W RODZINIE

Po kilku robrach, w czasie przerwy na herbatę zauważyliśmy, że Dyrektor posmutniał w stopniu wręcz zatrważającym. Sytuacja była o tyle niewytłumaczalna, że karta mu szła jak nigdy. Na współczujące pytanie o stan zdrowia uśmiechnął się smutno i odparł:

— Moje zdrowie? Dziękuję... — nabrał tchu, jakby chciał kontynuować zdanie, ale machnął ręką i urwał. Widać było, że chce sobie ulżyć wywnętrzając się, ale potrzebuje zachęty.

— Dzieci? — zainteresował się Literat.

— Skąd dzieci? — żachnął się —

Wręcz przeciwnie! Kiedyś dwa dni straciłem na poszukiwania w księgach metrykalnych dokładnej daty urodzin ojca. Z ciekawości poszedłem dalej i zająłem się danymi, które dotyczyły mego dziadka po mieczu, a raczej po kądzieli, gdyż ojciec ojca był robotnikiem w przędzalni. Następnie znalazłem nazwisko dziada w księgach katastralnych zanotowane przy kupnie spłachetka ziemi pod domek, który pamiętam z lat dziecinnych i tak ostatecznie zbłądziłem na manowce. Zacząłem poszukiwać korzeni.

— To nie tylko modne, ale i bardzo pouczające zajęcie! — entuzjazmował się Literat. — Czuć się związanym z ziemią dziadów, to wspaniałe uczucie!

Dyrektor bezradnie rozłożył ręce.

— Wszystko jest dobre, ale jedynie do czasu. Gdybym zatrzymał się na Marcinie, pradziadku — bandosie, lub jego ojcu Janie fornalu u hrabiego Przeniewierskiego, nie byłoby nieszczęścia, ale w zapiskach dworskich znalazłem notatkę, która na moją nieszczęsną głowę zwaliła lawinę.

— A których lat dotyczyła? — zainteresował się, jak zwykle rzeczowy, Mecenas.

— Notatka pochodziła z lat tysiąc osiemset sześćdziesiątych i od tego czasu w głąb dziejów, że tak powiem, nieszczęścia zaczęły się sypać na rodzinę. Oto okazało się, że mój pra- pra..., rewolucjonista i zesłaniec, Tomasz Ząb, był ni mniej, ni więcej tylko nieślubnym synem Szczęsnego Potockiego.

— Tego od Targowicy? — upewniłem się.

Dyrektor lekceważąco machnął ręką.

— Jeden Szczęsny to jeszcze nie nieszczęście, ale zrozumcie moje położenie, panowie: — nieoczekiwanie skuzynowałem się z całą arystokracją polską, francuską, austriacką, rosyjską, pruską, angielską i tak dalej, i tak dalej. Wystarczy sięgnąć do tablic gine... — zakrztusił się.

— Genealogicznych — współczująco dopomógł Mecenas.

— O właśnie! Genealogicznych. Jeszcze doniesie się, że łączą mnie więzy krwi z feudalnym możnowładztwem i... leżę. Teraz na pierwszym zakręcie każdy może mnie ustrzelić.

— Arystokracja naturalną koleją rzeczy skoligacona była z domami panującymi — bezlitośnie rzekł Literat.

— Jest więc pan skuzynowany z Piastami, Jagiellonami, Habsburgami, Tudorami...

Na Dyrektora nie można było patrzeć bez współczucia.

— Po co mi były te cholerne korzenie? — zapytał łamiącym się głosem. — Nieświadomi żyją i dłużej, i szczęśliwiej.

— Mój drogi — uśmiechnąłem się ciepło. — Czy zastanowił się pan kiedyś nad takim faktem, że miał pan dwóch dziadków, ale aż czterech pradziadków i ośmiu prapra...

— A co z tego? Czy to mnie uczyni bardziej sympatycznym dla naszych zakładowych jastrzębi? — żalił się.

— Chwileczkę! Prosta logika poucza, że jeżeli każdy jest w takiej samej sytuacji z antenatami, którzy z pokolenia na pokolenie przyrastają mu jak króliki, a w Polsce około tysiąc czterechsetnego roku było mniej więcej milion mieszkańców, to jesteśmy ze sobą skuzynowani na zasadzie każdy z każdym. I to skoligaceni i spowinowaceni wielokrotnie! Sprawa jest czysta jak łza! Każdy z pańskich oskarżycieli jest bliższym, czy dalszym kuzynem Kościuszki i „Diabła" Stadnickiego; bezimiennego, średniowiecznego rybałta i Kazimierza Wielkiego, Barbary Ubryk i Mickiewicza, a nawet i pana, tak że wszystko zostanie wśród swoich. Zresztą, jeżeli to pana może pocieszyć, to proszę sobie przypomnieć, że nigdzie się nie można tak serdecznie nienawidzić, jak w rodzinie.

Dyrektor popatrzył na mnie z roztkliwieniem.

— Mów mi wuju! — zawołał i otworzył ramiona. □



ACETAL

IMIENINY

W środę wypadły imieniny docenta Ciechowskiego, nowego kierownika Zakładu Maszyn Przyciężkich. Ponieważ Zakład Maszyn Przyciężkich oraz Instytut Technologii Niełatwych od dawna łączyły kooperacyjne kajdanki, jednogłośnie uchwaliliśmy składkę na kwiaty i na krawat w stylu minionej epoki propagandy sukcesu. Wybraliśmy pięcioosobową delegację: bukiet wręczała Krystyna, przez ostatnich dwanaście lat pełniąca ofiarnie obowiązki miss naszego instytutu, choreografię opracował Tadek Ścisły, doktor Współczesna wybrała — nie bez trudu — odpowiednie stroje z lekko przerzedzonych zasobów naszej odświętnej garderoby, ja zająłem się ułożeniem tekstów życzeń, a nad całością czuwał docent Piła.

Część oficjalna przebiegła zgodnie z planem; wszyscy stanęliśmy na wysokości zadania.

— Jak sobie radzisz ze spadkiem po Kuszpielu? — zagaił docent Piła, gdy wraz z solenizantem zasiedliśmy przy ziołowej herbatce, aby zrealizować drugi punkt programu, zatytułowany „swobodna, twórcza dyskusja naukowców".

Rozejrzeliśmy się dookoła.

Kulejące stoły dźwigały aparaturę za jakieś pięć milionów, ale na pierwszy rzut oka było widać, że nic do niczego nie pasuje, a i każdy aparat z osobna wyjątkowo nie nadaje się do prowadzenia badań przewidzianych harmonogramem.

Sporo precyzyjnych detali stalowych rdza uczyniła znacznie mniej precyzyjnymi.

Nalepki na dwóch nie rozpakowanych skrzyniach w rogu sali wskazywały jednoznacznie, że tajemnicza zawartość skrzyń przyczyniła się do wzrostu naszego zadłużenia w krajach drugiego obszaru płatniczego.

W niektórych maszynach brakowało części przydatnych kierowcom, rowerzystom lub gospodyniom domowym.

Laboranci i młodsi pracownicy naukowi sprawiali wrażenie zdyscyplinowanych tudzież przepojonych głębokim szacunkiem dla swego szefa, ale do pracy nikt się jakoś nie zabierał.

Na biurku leżał zakurzony biuletyn informacyjny sprzed pół roku.

Model maszyny przyciężkiej w gablocie reprezentował rozwiązanie techniczne, słusznie uznane za rewelację pod koniec lat czterdziestych.

— Retoryczne pytanie — stwierdził magister Ścisły — skoro wszyscy doskonale widzimy, że styl pracy profesora Kuszpiela jest twórczo kontynuowany.

— Daj spokój, Tadek — syknęła dyskretnie doktor Współczesna — jeśli koniecznie chcesz Ciechowskiemu coś wygarnąć, nie musisz tego robić akurat przy imieninach.

Wbrew naszym najgorszym obawom twarz docenta Ciechowskiego rozjaśnił szeroki uśmiech.

— Staram się, kolego, staram, aby nie wypaść gorzej od poprzednika. Powiem więcej: nie negując całokształtu osiągnięć profesora Kuszpiela trzeba również stwierdzić, że popełnił on, zwłaszcza tuż przed emeryturą, cały szereg błędów, które teraz musimy naprawiać. A więc nie ślepe naśladownictwo, tylko właśnie twórcza kontynuacja; to były, kolego, odpowiednie słowa — i docent Ciechowski poczęstował nas reglamentowanymi czekoladkami.

Czasem doprawdy trudno z góry przewidzieć, jaka opinia sprawi komuś satysfakcję. □



JACEK RUPIŃSKI

kartki z bełkotnika

Listopadowy wieczór

Nie był to spokojny wieczór. Najpierw przyszedł Konio z kapryszącym Bożydarkiem, a później, całkiem wyczerpana, ciocia Helenka. Opadła na krzesło i chwyciła się za głowę.

— Co się stało? — zapytała babcia.

— Nic, tylko siedziałam w kinie przeszło trzy godziny — jęknęła ciocia Helenka.

— Musiałaś? — zdziwił się dziadek.

— Nie, ale chciałam zobaczyć „Tess", ten głośny film Polańskiego — wytłumaczyła się ciocia Helenka.

— Aha — przypomniała sobie babcia. — On nakręcił kiedyś „Nóż w brzuchu".

— Nie „Nóż w brzuchu", tylko „Nóż w wodzie" — zgorszył się Konio.

— Tato, mnie się nudzi, ja chcę do domu — powiedział Bożydarek.

— Zjedz czekoladkę i pobaw się trochę — rzekł z roztargnieniem Konio i dał Bożydarkowi torebkę ze słodyczami.

— A nie mogłaś wyjść przed końcem? — zwróciła się Lila do cioci Helenki.

— Kiedy byłam ciekawa jak się to skończy — przyznała się ciocia Helenka.

— To znaczy, że film był ciekawy — stwierdziła babcia.

— Bardzo ciekawy — przyznała ciocia Helenka. — Ale mógł być krótszy.

— Czy to film o Mozarcie? — zapytała babcia.

— Babcia wszystko myli — powiedział Konio. — Mozarta grał Polański w teatrze, a „Tess" to jego film na podstawie powieści Tomasza Hardy'ego.

— To jest bardzo smutna historia pięknej i uczciwej, ale biednej dziewczyny wiejskiej — ożywiła się jakoś ciocia Helenka. — Wszystkie jej nieszczęścia zaczęły się wówczas, gdy jej ojciec dowiedział się, że jest potomkiem bardzo starego, arystokratycznego rodu.

— Pewnie przewróciło się jej w głowie — wyraził przypuszczenie dziadek.

— Jej nie, ale rodzicom jakby troszkę. Matka odnalazła jakąś bogatą krewną i wysłała tam Tessę, żeby pożyczyła pieniędzy. A tam spotkała syna właścicielki, Aleca. Przyjął ją do pracy, bo mu się podobała, a później uwiódł. Ale ona go nie kochała i uciekła. Urodziła dziecko, które umarło i...

— Tato, mnie jest niedobrze — powiedział Bożydarek, który wyłonił się z kąta. Miał błędne spojrzenie i wypieki na policzkach. Babcia podbiegła do niego, pociągnęła nosem i krzyknęła:

— Jezus Maria, on jest pijany!

— Czy babcia zostawiła na wierzchu jakąś butelkę z alkoholem? — zaniepokoił się Konio. — Co ty piłeś syneczku?

— He, he, he — zarechotał dziadek. — Babcia nie zostawia takich rzeczy na wierzchu.

— Tyl... — czknął Bożydarek — ...ko czekoladki.

— Kupiłeś mu beczułki z likierem — powiedziała babcia ze zgrozą.

— Kupiłem czekoladki na jego kartkę, nie wiem co włożyli do torebki — zawstydził się Konio.

Faktycznie, to były beczułki z likierem. Bożydarek dostał zsiadłego mleka i został ułożony na tapczanie.

— No i co było dalej z tą Tessą? — zainteresowała się Lila, kiedy już zapanował spokój.

— Poszła do pracy, do farmera. A tam poznała Anioła, w którym bardzo się zakochała — podjęła wątek ciocia Helenka.

— Zakochała się w aniele? — zdumiała się babcia.

— To był syn pastora, miał na imię Angel, czyli po naszemu Anioł. On też się w niej zakochał i poprosił ją o rękę. A ona ze strachu wyznała mu całą przeszłość dopiero po ślubie. Wtedy on powiedział, że uważał ją za dziecko natury, a tymczasem ona jest pomiotem zwyrodniałej arystokracji.

— Tak jej powiedział? — zdziwiła się babcia.

— Dosłownie — zapewniła ciocia Helenka. — On w ogóle pogardzał arystokracją, mówił, że jest robaczywa. A w pokoju miał „Kapitał" Marksa. No i odszedł od niej, powiedział, żeby go nie szukała, że jak mu przejdzie, to sam wróci. A ona wróciła do domu, a tam była straszna nędza i kiedy umarł ojciec, to wyrzucono ich z domu. Wtedy ona zgodziła się na propozycję Aleca, zamieszkała z nim, a on pomógł jej rodzinie.

— No to niby dobrze się skończyło — z rozczarowaniem powiedziała babcia.

— Ależ skąd, to wcale nie koniec. Bo wtedy właśnie wrócił Anioł i błagał ją o przebaczenie, ale powiedziała, że już za późno i on odszedł na dworzec. A wtedy ona zabiła Aleca, poleciała za Aniołem i odjechali razem. I byli szczęśliwi, ale krótko, bo ją aresztowała policja.

— Wezmę kanapki, termos i pójdę na ten film, bo są luki w twoim opowiadaniu — postanowiła babcia.

— A ja raczej przeczytam książkę — zdecydował dziadek.

Na tapczanie, pochrapując, Bożydarek spał twardym pijackim snem.

T. WOJCIECHOWSKA





— *Wymień trzy najważniejsze dopływy wód Wisły.*

— *Wody ze ścieków fabrycznych, wody z kanalizacji i wody z pól zatrute nawozem, panie psorze!*

karuzela Czasopismo satyryczne Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Adres redakcji: 90-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96. Telefony bezpośrednie: 314-32, 406-46. Centrala: 293-00. Redaguje zespół: WOJCIECH DRYGAS (redaktor naczelny), ADAM BIEŃKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), BOHDAN PIĄTKOWSKI (sekretarz redakcji), STANISŁAW GRATKOWSKI (kierownik działu graficznego), HALINA SIBIŃSKA (zastępca kierownika działu graficznego), STEFANIA MAŁEK (red. techniczna), KAROL BADZIAK. Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", 90-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne 92-332 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Rysunków i tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i adiustacji nadesłanych tekstów. Numer zamknięto 20.X.1982 r. Zam. 2172 F-12, Nr indeksu 36254. Opracowanie graficzne numeru HALINA SIBIŃSKA.



„Alchemia złotówki”